

Kronika tygodniowa.

Ponieważ w chwilach, wolnych od zajęć kronikarskich, zajmuję się czasem i szerszą polityką, aczkolwiek chwalić się tem nie lubię, postanowiła mnie Redakcja wysłać na jakiś czas do Turcji, bym tam na miejscu na własne oczy skonstatował, jak rzeczy stoją.

Miałem już wszystko przygotowane do podróży i kuferek i parasol i kalosze i paszport i fotografię i cały stos „passirszeinów” rozmaitego koloru i treści, miałem nawet nieco gotówki w kieszeni, co się u mnie, nawiasem mówiąc, rzadko zdarza, brakowało mi przecież jednej i to, jak się potem pokazało, najważniejszej rzeczy, bez której ani myśli się ruszyć.

Spyta kto może, czego?

Brakowało mi pozwolenia mojej najdroższej Weronisi, która już dawniej powiedziała, że pozwoli mi pojechać, dokąd zechcę, nawet do ludożerców, nie zgodzi się przecież nigdy na to, bym miał się wybrać do Turków lub Mormonów, tam bowiem skompromitowałbym się z pewnością, a ona, jako kochająca żona, przystać na to nie może!

Gdy m tedy onego dnia stanął przed nią i zawiadomilem o mym zamiarze wyjazdu nad Bosfor, odpowiedziała krótko, a węzłowato, nie bawiąc się w żadne wstępy:

— Wybij sobie to z głowy! Nie pojedziesz!... Mogą posłać kogo innego, ty siedź tutaj spokojnie, kiedy ci dobrze!

— Co? — zauważyłem skromnie — Mnie ma być dobrze?

— A może ci źle? Narzekaj tylko, a będziesz mieć ze mną do czynienia. Przy moim boku musi ci być dobrze! Powiedz mi zresztą, co ty tam potrafisz zdziałać między Turkami?... Co najwyżej, skompromitujesz się tylko!... Potem powiedzą, a mogą i napisać: „Przysłali nam tu jakiegoś fujare i niedołęgę!” Turcy to ogniste chłopcy, nie takie ciepłe piwo, jak ty. Mają po kilkadziesiąt żon i dają sobie jakos radę, a ty z jedną nie potrafisz dojść do końca!

— Ależ, koteczku! — zauważyłem — Co mają żony Turków do polityki! One tem się nie zajmują wcale i to im chwałę. Siedzą sobie w haremie, szyją, haftują, grają, palą papierosy, iskają młodych Turków, a o polityce mają takie pojęcie, jak, nie obrażając was, wy o gotowaniu!

— Tylko mi z gotowaniem nie wyjeżdżaj! Zle może wyglądasz? Gdybym cię wysłała na jaką opasową wystawę, wzięłabym z pewnością pierwszą nagrodę...

— Śmiej się z tego! Znawcy orzekliby z pewnością, że dobry mój wygląd należy przypisać raczej piwu. Wracam jednak do rzeczy. Ja tam jadę przecież w kwestyi politycznej, by wybadać kierujące sfery, jak się zapatrują na sytuację.

— Bardzo to pięknie! Może się jednak zdarzyć, że któryś ze znajomych baszów, gdy do niego pojedziesz w gościnę, powie ci: „Mój drogi kronikarzu, na jakiś czas opuszczam swój dom i oddaję ci go w opiekę. Proszę, zastąp mnie i bądź tu gospodarzem!”... I cóż ty wtedy na to?

— Ba! Ale on tak może nie powie? Zresztą, myślę, chyba jakoś podołałbym swym obowiązkom...

— Oho!... Gadaj sobie komu innemu, nie mnie! Ja cię znam dobrze, żyjemy ze sobą przecież lat już trzydzieści...

— Tak! Tak!... Zdaje mi się nawet, że w tym roku powinniśmy obchodzić uroczyste zakończenie wojny trzydziestoletniej... Tymczasem skończy się obecna, można będzie połączyć ze sobą oba obchody. Wypadnie nam to taniej, a teraz ciężkie czasy!

— Nie zwracaj mi głowy obchodami! Powiedziałam, że nie pojedziesz i tak się stanie!... Potem napisały jeszcze któryś z redakcyjnych kolegów impresyjke, p. t. „Pan kronikarz u Turków”, a ludzie śmialiby się z ciebie i pokazywali palcami!

— Byłaby jednak fotografia moja w „Nowościach”. To pochlebiłoby chyba twej próżności, że masz tak sławnego małżonka, iż go aż fotografują!... Nie macie kobiety pojęcia, jak się o to niektóre osobniki ubijają! Szczytem szczęścia dla nich, widzieć swój konterfekt odbity na papierze... Jak ongiś Ezaw za miskę soczewicy odstąpił Jakóbowi swe pierworodztwo, tak dziś za taką przysługę niejedna dama, polująca na popularność, oddałaby nawet to, czego nie ma!

— Ja tam na to nie lecę! Nie potrafisz mnie przekonać i... nie pojedziesz!...

Obróciła się, okazując mi odwrotną stronę medalu i wyszła spokojnie do kuchni, gdzie rozpoczęła zaraz handryczenie się z Kasią, służącą „do wszyst-

kiego”, o jakieś tam drobnostki, odnoszące się do domowego gospodarstwa.

Nie nadśluchiwałem, bo się na ekonomii domowej mało znam, a tem mniej się tem interesuję, zamiar podróży wraz z parasolem powiesilem przecież na kołku, przyznając w duchu rację wywiadowcom żoninym. Nie tylko Młototurka, ale nawet Staroturka nie potrafiłbym godnie zastąpić w pełnieniu obowiązków gospodarza domu, a tem mniej nadaję się na stanowisko wojskiego, zwłaszcza w tamtejszych stosunkach.

Swoją drogą przyznać się muszę, że podziwiam hart ducha Turków, którzy, mając na głowie tyle bab — mam na myśli żony i teściowe — nie tracą przecież fantazyi i rwą się nawet do wojny. Tego im zazdroszczę. Chciałbym być Turkiem, pod warunkiem przecież, jeśliby z Koranu skreślono paragraf, zakazujący używania alkoholu. W zamian za to zrezygnowałbym z owych przyjemności, jakie Koran obiecuje prawowiernym po śmierci!

Jeśli więc Szanowni Czytelnicy nie będą mieli oryginalnej mego pióra korespondencji z Konstantynopola, proszę mnie nie winić, ale moją żonę, która swem „peto” to zdziałała. Wiadomo zaś wszystkim chyba, że „gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła”.

Nie tracę przecież z tego powodu fantazyi, trzymając się ściśle dziesiątego przykazania sanitarnego, ogłoszonego przez fizyka miejskiego, które powiada: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na duchu”. Rozlepiono je w wozach tramwajowych, które obecnie posuwają się jeszcze bardziej powoli, by pasażerowie przez czas jazdy mogli się ich nauczyć na pamięć.

I ja przestudowałem je należycie. Najbardziej oburzyło mnie przykazanie piąte, które powiada: „Nie przesiaduj w knajpach!” Bardzo to ładnie tak napisać, ale proszę mi powiedzieć, gdzie w takim razie będzie się radzić nad sytuacją polityczną? Z żoną w domu o tem rozprawić nie będę, gdyż ona zna się na polityce jeszcze gorzej, niż na kuchni, a choć ma wiadomości zawsze z pierwszej ręki, takie przecież tylko, które nadeszły zapomocą telegrafu bez drutu, nazywającego się dziś pocztą pantoflową.

Niemniej zdziwił mnie ustęp, odnoszący się do tępienia różnych zwierząt, szkodliwych dla zdrowia. Fizyk powiedział im wojnę na śmierć i życie, nie wiem jednak, dlaczego zapomniał o myszach? Skoro obłożono interdyktem szczury, trzeba było to samo zastosować i do sympatycznych myszek, które również robią szkody, roznoszą choroby, co zaś najważniejsze, denerwują nasze panie, nadwyreżając ich zapasy wojenne.

Widocznie musiały postarać się myszy o protekcję w magistracie i dlatego nie pomieszczono ich na owej liście proskrybowanych, nazywanej obecnie: „Dziesięciorgiem przykazań sanitarnych”.

W dalszym ciągu owych pokojowych jaskółek, które coraz częściej pojawiają się na szpaltach pism, zamieścić muszę z obowiązku jeszcze kilka, jakie udało mi się złapać.

Przedewszystkiem więc pewien agraryusz z pod Krakowa zapewnił mnie przez cały marzec, że pokój definitywny zawarty będzie w dniu drugiego kwietnia. Jak dotąd, nie spełniło się to, nie winię go przecież, gdyż nie powiedział, w którym roku to się stanie. Być może, że z przyczyn od Redakcji niezależnych, odłożono go na maj, boję się o to przecież, gdyż miesiąc ten, aczkolwiek tak poetyczny i podniosłe mniej więcej każdego nastrojający, może właśnie dlatego, jako pewien stały, ściśle określony termin nie bywa nigdy używany.

Pożycz od kogo, dajmy na to, setkę, a na zapytanie, kiedy mu zwrócisz, odpowiedź: „W maju!”... a z pewnością zrobi krzyżyk i nigdy ci się nie upomni o oddanie, chyba, gdy maj już minie. Ale i wówczas możesz mu tę samą odpowiedź powtórzyć.

Ważniejsze, że o koniec wojny zaczynają się już upominać palacze cygar *virginia* (są to zaś, jak wiadomo, sami poważni obywatele), którzy są zgniewani, iż teraz otrzymują je bez słomek. Dawniej każdy mógł sobie przetkać dziurkę słomką, ile razy mu się spodobało, dziś pozbawionym jest tej przyjemności, gdyż z powodu wojny nie przywożą z Hiszpanii specjalnej słomy, która w tym celu bywa używana.

Wysyłają więc deputację, która ma upomnieć się o ich prawa, nabyte każdym razem za jedenaście halerzy, a obecnie szpetnie pogwałcone.

Także i Niemkinie wiedeńskie zgniewały się, iż do popołudniowej kawy, przy której kują zazwyczaj bajki, nie mają bułek, ani ciasta i postanowiły postarać się o to energicznie, a na energii im pono nie zbywa, jak mówił mi pewien Wiedeńczyk-landszturmista, pełniący obecnie służbę w Krakowie.

Ten znów prosi Boga codziennie, by wojna trwała jeszcze bodaj ze sto lat, nie potrzebowałby bowiem tak prędko wracać nad modry Dunaj do swej „najdroższej” *Kathi*...

Pokazuje się z tego, że niewiasty wszędzie są jednakie. Czy to Krakowianka, czy Wiedienka, potrafią należycie zalać mężowi sadła za skórę, bo mają energię, którą radziłbym im skierować w stronę pokoju. Niech rozpoczną wspólną akcję, a nikt im się oprzeć nie potrafi. Jeśli staną ręka w rękę i noga w nogę, a do tego „język w język”, czyż może być większa potęga?

Zresztą przepowiedni pokojowych, mniej lub więcej prawdopodobnych, nie brakuje, nadchodzą zaś przy pomocy poczty pantoflowej, mającej w każdym domu swą centralną stację zbiorczą, do której „bez drutu” znoszą je różne Hanki, Wiktusie, Kasie i Marysie. Tutaj przerabia się je należycie, podlewa odpowiednim sosem i następnie rozsyła po wszystkich piętrach w wydaniach naturalnie rozmaitych, zależnie od humoru i przyjaznych stosunków z daną partją.

Zapytaj jednak:

— Skąd pani wie o tem? Czy pani widziała to na własne oczy?

— Widzieć, nie widziałam — odpowie ci zaraz — opowiadała mi jednak Hanusia, a ona słyszała od Wikty, która była właśnie wtedy w sklepie, gdy o tem mówił jakiś starszy pan w okularach do drugiego, młodszego.

Rozmawiałem onegdaj z jedną z niewiast, znaną z tego, iż wie, co się dzieje w całej dzielnicy, kto się z kim kłóci, kto się w kim kocha, która żona zdradza męża, a który mąż żonę, gdzie gotują na masło, a gdzie na kunerolu.

Zeszliśmy naturalnie na politykę, to jest ona, nie ja, gdyż w żaden sposób nie chciała mnie dopuścić do głosu, a dolna szczeka chodziła jej, jak na najlepszych zawiasach.

Cały potok złorzeczenia wylała więc przedewszystkiem na głowy nieobecnych radców miejskich i prezydum magistratu, którzy, wedle jej zdania, ponoszą jedynie winę, że jest źle, kto wie nawet, czy oni sami nie postarali się o to, by wojna wybuchła, mogą bowiem na tem robić dobre interesy.

— Co też pani kochana mówi! — zwróciłem jej uwagę. — Rozmawiałem z kilku ojcami miasta i sam, na własne uszy słyszałem, jak narzekali na obecną sytuację, wywołaną wojną.

— Oho! Trzeba ich znać!... Oni tylko udają, a w duchu są kontenci... Ja tu stanowczo nie wytrzymam i wyjeżdżam do Pragi lub Wiednia!

— Nie radziłbym! Z pomiędzy miast monarchii stosunki ekonomiczne w Krakowie są jeszcze najznośniejsze.

— Widział pan nasze bułeczki po dwa centy? Niczem pigułki! A jakie czarne?... Aż rozpacz bierze!

— Widziałem! Widziałem jednak i wiedeńskie i powiadam pani, że tamte, to noc, a nasze dzień!

— To się panu tylko tak zdawało! Zresztą zapasów na wypadek oblężenia w Krakowie brak!

— Widziała pani na własne oczy?

— Nie! Słyszałam tylko na własne uszy od jednej pani, która codzień chodzi do kościoła, więc z pewnością nie skłamię!

— Otóż, muszę panią zapewnić, że jest pani w błędzie. Kraków, dzięki obecnemu zarządowi, jest zaprowiantowany bardzo dobrze. Może mi pani wierzyć, bo i ja, aczkolwiek tak często Panu Bogu się nie naprzykrzam, również z prawdą mijać się nie lubię, a zapasy i widziałem i oglądałem urzędowe wykazy... Niechaj więc pani będzie spokojną, z głodu nie pomrzemy. Skoro jednak ma pani ochotę wyjechać, nie będę się starał odwozić od zamiaru. Zostanie dla nas więcej. Baba z wozu, koniom lżej!

Przytoczyłem tę rozmowę dlatego, by Czytelnika przekonać, jakimi argumentami walczą nasze panie i na jakich danych opierają się informacje poczty pantoflowej. Każda z nich słyszała z ust najbardziej zasługujących na wiarę, nie widziała jednak żadna. Są zresztą i takie, które widziały nawet to, czego nikt inny nie widział i widzieć nigdy nie będzie...

Za tego rodzaju niepokoje opinii publicznej powinno się gadatliwe niewiasty pakować do ula, by tam mogły odpocząć po uciążliwej pracy językowej. Wówczas dopiero Kraków odetchnąłby!

